




Polski podróżnik przerywa milczenie. „Zajmowaliśmy się zorganizowanym przemytem”

Dodano: 11 stycznia 2020, 08:12 /  5  4 /  /  3665

Old Delhi, 1988

Niektórzy z nas, opowiadając dziś o swojej aktywności w latach osiemdziesiątych, mówią: „Handlowałem w Azji. Kupowałem elektronikę w Singapurze, sprzedawałem w Indiach i dobrze na tym zarabiałem”. Można i tak, oczywiście. Jak się kupuje w jednym kraju, a sprzedaje z zyskiem w drugim, to jest niewątpliwie handel. Nie lubię jednak hipokryzji, wolę nazywać rzeczy po imieniu: zajmowaliśmy się zorganizowanym przemytem – wyznaje podróżnik i miłośnik Azji Południowej Cezary Borowy.

Polacy przemycali najpierw elektronikę, potem elektronikę i złoto, wreszcie już tylko złota. Liczne i dobrze zorganizowane grupy naszych rodaków działały w Azji w latach mniej więcej 1984–1994. Niektórzy byli tam wcześniej, inni zostali dłużej, ale te dziesięć lat to był czas największej aktywności. Za zarobione pieniądze budowali w Polsce domy i zakładali firmy: hurtownie restauracje, apteki. Dziś większość z nich żyje inaczej, można rzec: zwyczajnie, ale nie wszyscy. Byli i tacy, którzy zginęli w indyjskich więzieniach. O nich i kulisach działalności ówczesnych polskich grup przemytniczych w Indiach opowiada książka Cezarego Borowego „Spowiedź Hana Solo. Byłem przemytnikiem w Indiach”.

Tramwaj pełen przemytników

– Jeździłeś kiedyś tramwajem? – pyta Kwiatek z ironicznym uśmiechem. – No przecież jeździłeś.

Kwiatek to inteligentny chłopak, dobiera przykłady do poziomu wiedzy słuchacza. Jest październik 1987 roku, szef grupy przemytniczej, do której właśnie dołączyłem, poprosił go, aby wprowadził mnie w temat. Ma mi wytłumaczyć, jak on to robią, polscy przemytnicy. W jaki sposób na przykład on – jak mówi – cztery miesiące temu przyleciał do Indii, ani razu nie opuścił tego kraju, a przemycił dziesiątki magnetowidów i kamer wideo z Singapuru.

Czuję się przed tym szkoleniem jak przed występem magika, który wyciąga królika z kapelusza. Wiem, że kryje się za tym jakaś sztuczka, pomysł na oszukanie myślników, w tym przypadku zmysłów indyjskich celników. Siedzimy w pokoju hotelowym, jestem skupiony, żeby szybko załapać, na czym polega ten przemytniczy trik.

– Wyobraź sobie na przykład tramwaj dziewczętą w Warszawie – mówi Kwiatek. – Ja wsiadam na rondzie Waszyngtona z torbą, w której mam skrzynkę z trąbką, to znaczy magnetowid i kamerą na duże kasety VHS. Spore gabaryty, więc dla bezpieczeństwa całość owinięta jest w gruby koc Tiger – wiesz, taki koc we wzór tygrysa, Indusi za nimi przepadają. Torbę stawiam na podłodze, ty wsiadasz na następnym przystanku do tego samego tramwaju, szukasz mnie dyskretnie wzrokiem, rozpoznajesz i stajesz obok, ale oczywiście udajesz jak na filmie szpiegowskim, że się nie znamy. Jedziemy razem i na kolejnym przystanku, na rondzie de Gaulle’a, bierzesz do ręki moją torbę, jakby była twoja, i wsiadasz. Ja też wsiadam, z rękoma w kieszeniach, i rozchodzimy się jakby nigdy nic w różne strony, nawet nie zamieniając słowa. Gdyby zatrzymała cię milicja – kontynuuje Kwiatek – i kazała otworzyć torbę, to pokazujesz rachunek z numerami seryjnymi sprzętu na twoje nazwisko, potwierdzający, że jesteś właścicielem elektroniki. Numery na rachunku i na sprzecie się zgadzają, bo stickery, czyli naklejki z numerami, były specjalnie zmienione pod numery, które masz na rachunku.

Przerywa nam pukanie do drzwi, wchodzi recepcjonista Pilaj. Przyniósł kilka butelek zmrożonej Campa coli, to lokalna podróbka coca-coli. Nareszcie, bo butelka czeka, a trudno pić ciepłą whisky w tak gorącym kraju jak Indie.



New Delhi, 1987 / Źródło: Materiały prasowe

– Loty, tak samo jak linie tramwajowe, mają swoje numery – ciągnie Kwiatek. – Gdy mówimy czterysta dwunastka, czterysta dziesiątka czy coś w tym stylu, to mamy na myśli numer lotu Air Indii, zawsze taki sam na tej samej trasie i o tej samej porze. Znam wszystkie numery lotów Air Indii na pamięć, chcesz sprawdzić?

Dam ci rozkład, możesz mnie przepytać. Nie chcesz? Dobra, dalej. Air India to indyjskie linie lotnicze, jako jedyne mają prawo robić przystanki wewnątrz kraju. Startuje więc taka czterysta dwunastka w Skierniewicach, znaczy się w Singu, Singapurze, i leci do Krakowa, czyli Kalkuty. Tam ma godzinny przystanek, na którym część pasażerów wysiada, część się dosiada, a potem samolot odlatuje do stolicy, czyli New Delhi. Podobnie jak w tramwaju, tak? Kiwam głową.

– No i nie mów „przemytnicy”, „przemyt”, bo jeszcze ktoś pomyśli, że z gazety przyjechałeś – ostrzega mnie Kwiatek. Jesteśmy przewalczkami, tak się o nas mówi. Przewalczamy towar przez granicę. Wracając do tematu, przewalcz, który przylatuje ze Skierniewic, wrzuca towar na teren Indii, więc z tej okazji jest nazywany wrzucakiem, kumasz? Okej, musisz przyswoić, więc polejmy. To za ślepych kastomów, znaczy się celników! Kolejni przewalczowie dosiadają się w Krakowie do samolotu, którym leci wrzucak, podwieszają się pod jego trasę, czyli są wieszakami. Nazywamy ich tak również dlatego, że niejako zawieszony jest na nich towar, który wynosi przez granicę. Na jednego wrzucaka musi być pięciu, sześciu wieszaków, żeby to finansowo fajnie wychodziło. Kiedy wrzucak leci klasą ekonomiczną, ma prawo do jednego bagażu podręcznego. Zabiera więc na pokład samolotu jedną torbę ze sprzętem, ale na bagaż główny nadaje za dopłatą jeszcze pięć sztuk. Przy wsiadaniu na końcowym przystanku w stolicy, gdy wszyscy wstają i jest zamieszanie, wrzucak pokazuje wieszakowi, w którym luku bagażowym umieścić towar. Ten wyjmując torbę jak swoją i wychodzi. Mówi się, że bierze torbę z ręki. Czyli jeden zestaw mamy załadowany. Kolejne były nadane na bagaż główny. No i teraz jest krytyczny moment, pozostałe wieszaki muszą je odebrać przy belcnie – tym pasie, na którym jadą walizki. Kumasz na razie? No to jedziemy dalej z tym przewalczkim seminarium kursu podstawowy.

Znow pukanie do drzwi przerywa nam rozmowę. Pilaj pyta, czy czegoś nam jeszcze nie trzeba.

– Nam nie, ale tobie najwyraźniej tak, przyjacielu – odpowiada po polsku mój nowy kolega. – Siadaj, napij się z nami – mówi do recepcjonisty z uśmiechem już po angielsku. – Tylko nie gniewaj się, ale będziemy gadać po naszymu, okej?

Widzę, że Pilaj akceptuje to i bez skrępowania przysiadła na łóżku. Wyraźnie to nie jest pierwsza taka sytuacja. Dostaje szklaneczkę i sprawia wrażenie ukontentowanego.



New Delhi

– Bagaże na belcnie są wymieszane – wraca do przerwanej wykładu Kwiatek. – Te nadane w Singu z tymi nadanymi przez pasażerów dosiadających się w Kalkucie, bo przecież teraz wszyscy wychodzą z jednego samolotu. Walizka taka, torba owaka, różni je tylko oznaczenia wychodzące przy odprawie bagażowej. W Singapurze dają naklejki z oznaczeniem tego miasta, a w Kalkucie ze swoim logo. Jak się pewnie domyślaś, bagaże przylatujące z zagranicy, z Singapuru, podlegają odprawie celnej. A te z Kalkuty? No właśnie, to jest lot wewnętrzny, po naszymu domestikowy, więc formalnie żadnej kontroli nie ma. Musisz tylko udowodnić, że nie przyleciałeś z zagranicy, tylko podróżujesz wewnątrz Indii, i możesz przynajmniej teoretycznie oiać celników. Ale, ale! Bo przecież bagaż jest z zagranicy, nadany w Singapurze. Co o tym świadczy? Dobrze kombinujesz, przywieszki! Dlatego wieszak zdejmując torbę z belty, dyskretnie je zrywa i wychodzi, a jakby ktoś pytał, to pokazuje boarding pass, czyli kartkę pokładową, że przyleciał lotem domestikowym z Kalkuty, a to jest jego bagaż podręczny. I to cała filozofia. Proste jak jazda tramwajem.

Marzenie

W Indiach żyliśmy praktycznie cały czas pod napięciem. Nie chodzi tylko o przekraczanie granicy. Niebezpiecznie było również w mieście.



Indie / Źródło: Materiały prasowe

Jeździliśmy motorkami załadowanymi po sufit wartościową elektroniką, a później dodatkowo ze złotem w kieszeniach, często w te same miejsca. Lokalną gangę to widzieliśmy. Wychodziliśmy z tych miejsc z plecakiem pełnym rupii, żeby następnie jeździć po cinkciarzach za wymianą. Jeśli jednego dnia wyszły dużo wieszaków, trzeba było odwiedzić kilka lokali, żeby wymienić całą kasę. Oczywiście nasi kontrahenci zapewniali nas, że jesteśmy chronieni, oni o to dbają, ale wiadomo, takie gadanie.

Lach rupii stanowił majątek dla lokalsów, chociaż były to raptem trzy tysiące dolarów, które zajmowały pół plecaka. Czuliśmy ten głodny wzrok na plecach. Zagroźeniem była też policja, jakieś specjalne służby o dziwnych skrótach w nazwie, lotne kontrole celniczo. Wszyscy byli niby oplacani przez naszych indyjskich partnerów, cinkciarzy, handlarzy, ale czasem chcieli więcej i robili naloty na hotele czy dilerów. Zwykle po kilku dniach sytuacja wracała do normy, lecz stres towarzyszył nam ciągle. Zalewaliśmy go alkoholem, ale to pomaga na krótko.

Po kilku dniach takiego życia jechaliśmy na lotnisko, żeby opuścić Indie. Jeszcze w drodze się denerwowaliśmy, bo przecież trzeba było przewalić przez granicę pęge waluty. Jeszcze po odprawie w terminalu byliśmy czujni, żeby nikt się nie przylatwał, ale już się rozglądaliśmy, szukaliśmy wzrokiem kumpiła, rzucałiśmy porozumiewawcze spojrzenia.

Dopiero gdy samolot Singapore Airlines zaczął kołować, w nas rosła radość. Tu nas nie dopadną. Teraz jesteśmy bezpieczni. Trzeba to uczcić. Double bloody mary, please.



Bombaj, 1988 / Źródło: Materiały prasowe

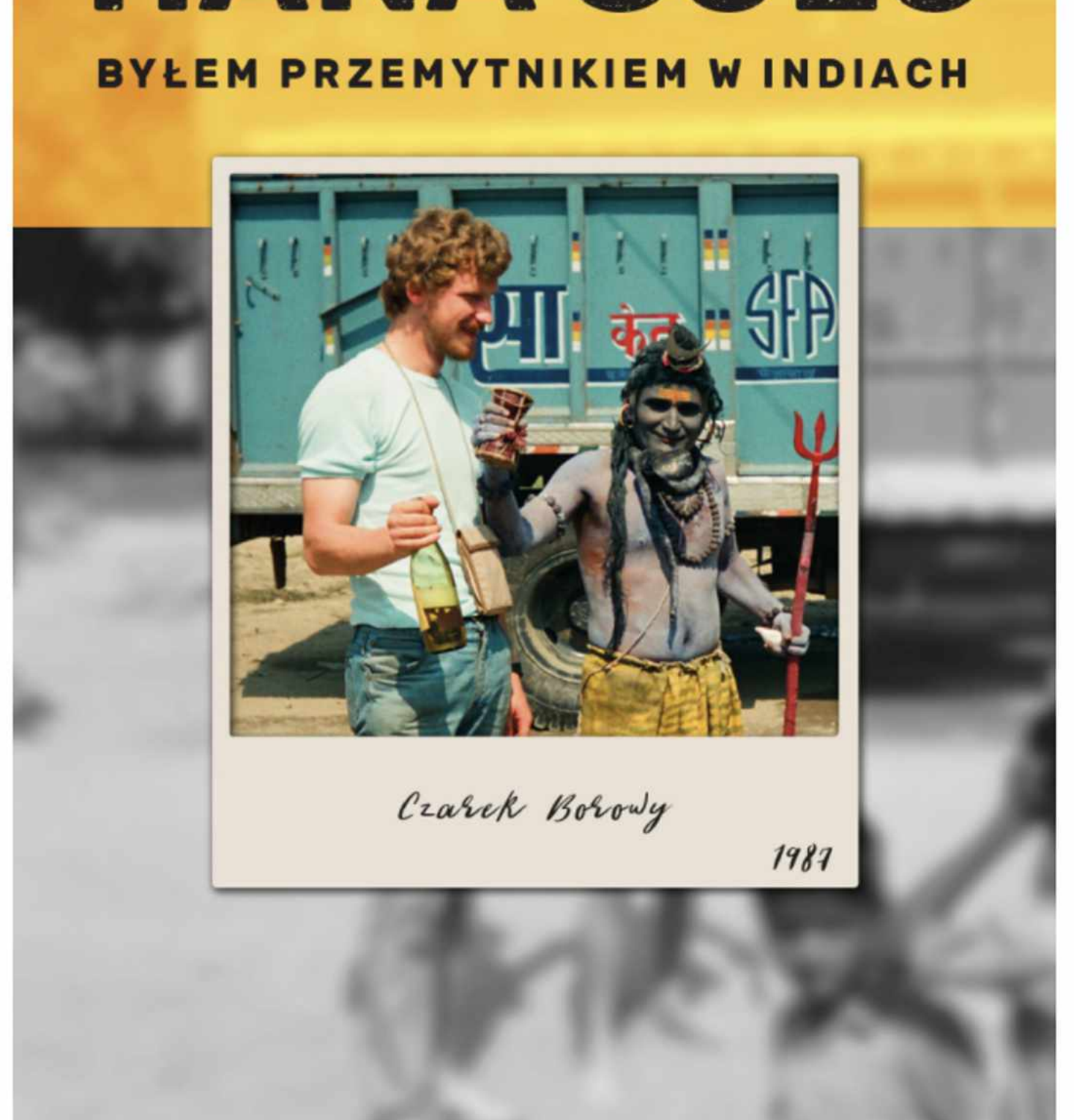
Mieliśmy przed sobą pięć godzin prawdziwego odpoczynku, satysfakcji, że kolejny raz nam się udało zamknąć kółeczko bez strat. To znaczy przewalić towar do Indii i wywieźć całą pęgę waluty do Singu. Tam znow będzie bieganina, wymiana walut, zamawianie i odbiór towaru. Klejenie stickerów, ewentualnie szykowanie baterii, zależy, co kto w danym momencie przewalał, pakowanie toreb i powrót na trasę, na kolejne kółeczko.

Ale też zapuszczając Indie, mamy luz, zbieramy się razem na końcu samolotu, gdzie możemy zapalić z drinkami w rękach, i wszyscy z byle czego się cieszymy.

Łądując w Singu, za każdym razem wypełniało się formularz wizowy. Była tam rubryczka purpose of visit, cel wizyty. Z lubością i zgodnie z prawdą wpisywaliśmy tam: businesses and pleasures, biznesy i przyjemności.

Młodzi, zdrowi, bogaci i bezpieczni, choćby przez moment.

*Fragmety książki Cezarego Borowego „Spowiedź Hana Solo. Byłem przemytnikiem w Indiach” (wyd. Tourist Baggage Re-eksport Publishing)



„Spowiedź Hana Solo. Byłem przemytnikiem w Indiach” Cezarego Borowego / Źródło: Materiały prasowe